

Nadzieja z Tompkins Square

Czytam toruński spektakl jako rzecz o nadziei. Każdy bohater ma marzenia, egzystuje w bezdomności wierząc, że jeszcze może być normalnie. Jest to też opowieść o nas, o świecie, w którym społeczeństwo kładzie nacisk na sukces jednostki, gromadzenie majątku - o "Antygonie w Nowym Jorku" Janusza Głowackiego w reż. Macieja Marczewskiego w Teatrze im. Wilama Horzycy w Toruniu pisze Barbara Pitak-Piaskowska z Nowej Siły Krytycznej.

Dobiegający z ciemności nieokreślony jęk lub krzyk zmąci czasem wszechogarniający spokój nocy. Zagubieni pośród ulic wielkiego miasta ludzie, dotknięci samotnością, tkwią w bezdomności. Czekają, szukając siebie w cichej nocy, odbiciu widocznym w tafli kałuży, we wspomnieniach. Jakby zamknięci w osobnych światach, jednocześnie pragnąc wsparcia i obecności drugiego człowieka. Nowojorscy bezdomni, homlesi, ludzie tacy jak my.

Janusz Głowacki opisał w "Antygonie w Nowym Jorku" społeczność zamieszkującą park Tompkins Square, na krótko przed policyjną akcją likwidacji ich obozowiska. Park został na jakiś czas zamknięty, wzniesiono wysoki płot odgradzający go od miasta. Ostatecznie przestrzeń tę zrewitalizowano i przebudowano. Dzisiaj to miejsce rozrywki i wypoczynku, po bezdomnych nie ma śladu. Sztuka Głowackiego jest ważnym zapisem pewnego momentu w historii Nowego Jorku. Autor zatrzymał obraz miejsca, które było swoistym wyrzutem sumienia nowojorskiej społeczności. Miejsca, które wymyka się teorii nieustannego dążenia do spełnienia tego, co określamy "amerykańskim snem". Tam bowiem funkcjonowały osoby, które z różnych względów nie spełniły tego marzenia, niezależnie od pochodzenia. Byli tam Amerykanie, Polacy, Rosjanie, Portorykańczycy i inni, którzy szukali w Nowym Jorku spełnienia snów. Na pytanie, na co czekają mieszkańcy Tompkins Square Janusz Głowacki odpowiedział niegdyś: "Moi bohaterowie czekają na spełnienie marzeń, w których są tak samo jak my - my wszyscy - ograniczeni, i które się nie spełniają, bo nie mogą. Więc uznają je za rzeczywistość. Szukają powodu do życia. (...) To taka komedia o rozpacz".

"Antygonę w Nowym Jorku" wyreżyserował w toruńskim Teatrze im. Wilama Horzycy Maciej Marczewski, znany szerszej jako aktor teatralny, filmowy i telewizyjny. Przedstawienie grane jest na małej scenie, publiczność ma poczucie intymności i bliskości bohaterów. Porzucane gazety, śmieci trącają o nogi widzów siedzących w pierwszych rzędach. Scenografia autorstwa Katarzyny Sobańskiej i Marcela Sławińskiego jest bardzo poprawna, oddaje nastrój nowojorskiej ulicy: samotna ławka, światło latarni, w tle panorama wielkiego miasta.

Spektakl zasadza się na aktorstwie. Skomplikowana relacja trojga bohaterów rozwija się powoli, nabierając rozpędu uświadamia, że postaci Głowackiego są podobne do bohaterów "Czekając na Godota" Samuela Becketta. Czekają na coś, co nigdy nie przyjdzie. Tętniąca w nich nadzieja na lepsze jutro okazuje się płonna. Kiedy patrzymy na Saszę, Pchełkę i Anitę, robi nam się ich żal. Stracili w życiu wszystko poza jednym - człowieczeństwem. Objawia się to szczególnie wtedy, kiedy Portorykanka Anita (Joanna Rozkosz) postanawia zrobić wszystko, by zmarłego ukochanego uchronić przed pochówkiem w Potter's Field - na cmentarzu dla bezimiennych i nędzarzy. Postrzegana jest jako szalona. Dobytek (wszystko co cenne i możliwe to sprzedania) trzyma w wózku z marketu, strzeże go jak oka w głowie. To jej jedyna nadzieja na uczciwe zarobienie pieniędzy i powrót do normalności. Anita w interpretacji Rozkosz to przekonująca rola, choć aktorka jest dużo młodsza od granej przez

siebie bohaterki i to utrudnia odbiór. Obszerne ubrania, długa spódnica i wyciągnięty sweter, czarna peruka wyglądają groteskowo na drobnej sylwetce. Aktorka wygląda na przebraną.

W roli Saszy Paweł Tchórzelski. Wewnętrzny spokój Rosjanina, dystans do świata (momentami jest jakby obok wszystkiego, co dzieje się wokół) odróżniają go od pozostałych. To pierwsza postać, którą widzimy. Śpi na ławce przykryty starym kocem, rzeczy trzyma w zniszczonym kartonie. Wyjątkowo elokwentny, odczytany i zrównoważony, zdaje się nie godzić na bycie bezdomnym. Pozorna obojętność staje się swoistą ucieczką od problemów. Ożywia się tylko raz - kiedy pojawia się promyk nadziei na zdobycie pracy, kiedy snują z Anitą wspólną przyszłość w przytulnym domu.

Nieustannie zadowolony i skory do rozmów jest natomiast Polak, Pchełka. To alkoholik, który przybył do Stanów Zjednoczonych, by zrobić karierę. Kiedy zaczęły się problemy, popadł w nałóg. Każde pieniądze przeznaczają na alkohol. Nie ma przy sobie żadnych rzeczy. Pchełka traktuje Saszę jak przyjaciela, co jednak nie przeszkadza mu przy każdej sposobności oszukiwać go w wiadomym celu. Bartosz Woźny stworzył świetną rolę. Jego Pchełka jest energiczny, ale nie nachalny. To bohater tragikomiczny, wprowadza na scenę koloryt. W zabawny sposób snuje opowieści o ukochanej, która została w Polsce. Kunszt Woźnego polega na tym, że publiczność nie śmieje się. To monolog zagubionego człowieka, tęskniącego za przeszłością.

Czytam toruński spektakl jako rzecz o nadziei. Każdy bohater ma marzenia, egzystuje w bezdomności wierząc, że jeszcze może być normalnie. Jest to też opowieść o nas, o świecie, w którym społeczeństwo kładzie nacisk na sukces jednostki, gromadzenie majątku. Historia nowojorskich bezdomnych sprzed blisko trzydziestu lat przypomina, że nic w życiu nie jest dane raz na zawsze.

Barbara Pitak-Piaskowska

e-teatr

10-12-2019